

## POWRÓT DO DOMU

Na dworze zapadał zmrok. Ciemność spowijała gęste krzaki i zarośla, przedzierała się przez konary drzew. Gwiazdy lekko świeciły, a księżyc lśnił na niebie, rozświetlając swym bladym blaskiem dróżkę, którą szedłem, skrzypiąc butami o śnieg leżący na ziemi. Widok ten, na pierwszy rzut oka piękny, skrywał w sobie wiele mrocznych tajemnic, o których nie wiedział nikt, z wyjątkiem drzew szumiących w pobliżu. A ja podążałem wśród nich, w strachu i niepewności. Zupełnie samotny, mały chłopiec, który uciekł z sierocińca, swojego dotychczasowego domu, by znaleźć lepszy, przepelniony ciepłem i miłością.

A wszystko rozegrało się parę dni temu. Obudziłem się w bardzo złym humorze. Gorszym, niż zazwyczaj. Być może dlatego, że dziś były moje ósme urodziny i wiedziałem, że jak zwykle nikt nie będzie o tym pamiętał. Nikt mnie nie przytuli, nikt mi nie sprawi radości. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, jak okropnym miejscem jest sierociniec. Nie lubili mnie tu i nie szanowali, nawet koledzy, których spotkał podobny los, uważali, że jestem do niczego. Mieszkałem tu już od pięciu lat. Swoich rodziców nie pamiętam za dobrze. Kojarzę jedynie jak przez mgłę uśmiech i radosne, przepelnione miłością oczy matki, za którymi bardzo tęskniłem. Nie wiem, co dokładnie się z nimi stało. Wiedziałem jedynie, że zginęli w wypadku. Zostałem więc zabrany do sierocińca. To było najgorsze, co mogło mnie spotkać. Nie dość, że byłem ponaglany codzienną dyscypliną, to w dodatku wyśmiewany z powodu wielkiego, brzydkiego znamienia na policzku i wady wzroku. Codziennie spotykały mnie dodatkowe kary, po których czułem się jeszcze gorzej. To było okropne. Czasami chyba nawet wolałbym umrzeć. W każdym razie, tego ranka wpadłem na pomysł, by zerwać z dotychczasowym życiem i uciec, w poszukiwaniu miłości, ciepła i prawdziwego domu. Uciec, by zaznać innych uczuć niż tylko smutek, strach i przerażenie. By przekonać się, że na świecie istnieje też dobro...

Ucieczka nie była łatwa. Jej plan opracowywałem pełne dwa tygodnie. Musiałem w odpowiednim czasie przemknąć się w kilku miejscach tak, by nikt mnie nie spostrzegł. Gdy wszystko było już gotowe, a inni smacznie spali, po cichutku zszedłem na dół po schodach. Kiedy już się tam znalazłem, przykucałem, by sprawdzić, czy nikogo nie ma w kuchni, którą zamierzałem przejść. Dochodzące z niej rozmowy wskazywały jednak na czyjąś obecność. W środku konwersację prowadziły dwie panie: dyrektorka sierocińca oraz kucharka.

- Od roku nikt nie przyjeżdża, by adoptować dzieciaki – mówiła dyrektorka – ostatnio, rok temu adoptowano dwie dziewczynki, a półtora roku temu jedną. Mamy coraz więcej dzieciaków, nie możemy zapewnić im domowych warunków.

- Gertrudo, nie mówię tu o domowych warunkach, ale nie można uprzykrzać im życia, każąc pracować cały dzień i dając dodatkowe kary za nic – mówiła kucharka. - Przez to mamy złą opinię. Ludzie nie chcą adoptować smutnych i poobijanych sierot, przez co trzymają się od nas z daleka. Stajemy się więc odludnym miejscem, o którym nikt nie chce słyszeć.

- Może i masz rację, ale nie zmienię sierocińca w hotel dla sierot. Porozmawiamy o tym jeszcze jutro – rzekła dyrektorka. - A teraz idę. Już późna godzina.

Powiedziawszy to, wyszła z kuchni. Przywarłem jeszcze ciaśniej do ściany, a serce zaczęło mi walić jak młotem. Jedyną moją kryjówką w tej chwili była ciemność. Dyrektorka nie zauważywszy mnie, jednak przeszła obok i ruszyła schodami ku górze, a dźwięk jej szklanych obcasów roznosił się echem po niemal całym sierocińcu. Teraz słychać było jedynie cichy oddech kucharki. Jednak po chwili i ona wstała, po czym udała się do swojej izdebki. Nastąpiła zupełna cisza, spowijana w ciemność. Starając się jej nie zakłócić, udałem się do kuchni, skąd wzięłem odrobinę jedzenia i przeszedłem w wąski korytarzyk. O jego istnieniu dowiedziałem się niedawno. Na samym końcu owego korytarzyka, znajdowało się wąskie przejście prowadzące na dwór. Z trudem przecisnąłem się przez szczelinę, a me włosy od razu zmierzwił lekki wiatr wiejący na zewnątrz. Przeszedłem bokiem, gdzie nie nasypał śnieg, by nie zostawiać śladów i już po chwili znalazłem się przy murze sierocińca, w miejscu, gdzie od strony budynku nie było okien. Ostrożnie się wspiałem, po czym znalazłem się na wolności. Udało się. Nie mogłem wręcz w to uwierzyć, ale... tak było. Moje serce zalała niespodziewana fala radości.

- Żegnaj, sierocińcu – szepnąłem, a odpowiedział mi jedynie lekki wietrzyk wiejący wokół.

Nim się zorientowałem, nastał ranek. Z nieba spadały, powoli i zgrabnie niczym baletnice, białe płatki śniegu, które po chwili łądowały na ziemi, tworząc coraz to większe warstwy mieniącego się w blasku słońca puchu. Podziwiałem ten widok z zapartym tchem. Świat poza ciemnymi murami wydawał się taki piękny! Rozkoszowałem się każdą chwilą, którą mogłem spędzić na wolności. To było takie cudowne! Mimo, że była zima, czułem się radośnie i pogodnie, tętniłem życiem i chęcią odkrywania świata. Nie przeszkadzał mi mróz i chłód, mimo że moje ubranie z sierocińca nie było wcale za ciepłe. Nagle, ni stąd ni zowąd zacząłem myśleć o swoim życiu. O tym, co robię, kim jestem i jaki jest mój cel. Tak więc, byłem jedynie małym ośmioletnim chłopcem, którego życie nie rozpieszczało. Uciekłem z sierocińca, by odkrywać świat i stać się choć trochę szczęśliwszym. Życie za jego szarymi murami było tak okropne, że nie mogłem wytrzymać. Uciekłem, mimo zimy. Uciekłem, mimo ryzyka. I nie żałowałem tej decyzji. Moim celem, a zarazem największym marzeniem, było znalezienie rodziny, miłości i prawdziwego domu. Skoro ludzie nie chcieli po mnie przyjechać, to może ja przyjdę do nich? W każdym razie chciałem najpierw dojść do dużego miasta położonego na północy. Pragnąłem zrobić to szybko, zanim słuch o moim zaginięciu rozniesie się po całej okolicy. Nie mogłem sobie wyobrazić ponownego powrotu w szare mury sierocińca...

Maszerowałem łącznie dwa dni i dwie noce, rozmyślając po drodze o wszystkim, co mnie spotkało i o tym, co mnie spotka. Miałem wyjątkowo sporo sił, mimo że żywiłem się jedynie jedzeniem, które zabrałem ze sobą z sierocińca. Jednak po tych dwóch dniach marszu poczułem, że nogi zaczynają mi odmawiać posłuszeństwa. Zrobiło mi się słabo, a chłód coraz mocniej dawał się we znaki. Ile do miasta? Według mapy, którą miałem ze sobą, pozostała jeszcze połowa drogi, którą pokonałem. Minąłem już większość zaznaczonych na niej punktów; trzy wioski i ogromne, zamrożone jezioro, po czym znalazłem się w samym środku dziczy. Wokół nie było żywej duszy, tylko drzewa i zaśnieżona trawa. Nic poza tym. Śnieg nie przestawał prosić, wzmógł się za to wiatr, który wiał z coraz to większą siłą. Teraz już mocno trząsałem się z zimna, chłód przenikał mnie z każdej strony. Delikatny śnieżek zmienił się nagle w dosyć mocną śnieżycę, a ja, zupełnie sam, nie miałem się gdzie skryć. Chciałem iść przed siebie, jednak nie miałem tyle sił. Wesoło tańczące płatki śniegu w przeciągu paru godzin zmieniły się w krążące złowrogo śnieżynki. Przysiadłem pod drzewem, a z mego oka poleciała łza, która niemal natychmiastowo zamarzała na chłodzie. Było mi coraz zimniej, jakby ktoś cały czas zniżał powoli temperaturę. Chciałem iść przed siebie, chciałem odkrywać życie. A tymczasem głodny, zziębnięty i zapłakany siedziałem pod wielkim drzewem, z czerwonymi, zamrożonymi policzkami. Z mych oczu bezustannie lały się łzy, po chwili zamieniając się w lodowe perły na twarzy. Nagle, ujrzałem przed sobą norę. Należała ona do rodziny lisów, które w niej mieszkały. Zacząłem ich obserwować. Mama, tata, i dwójka małych lisiątek. Wszyscy kochali się i lubili, byli razem. Pomyślałem, że chciałbym być jednym z nich – urodzić się jako trzeci mały lisek w tej rodzinie. Ale byłem jedynie osieroconym chłopcem, który poszukiwał miłości. Gdy o tym pomyślałem, mój płacz się wzmógł. Było mi już tak zimno, że nie mogłem wytrzymać. Wiatr nasilił się, a liczba śnieżynek spadających z nieba, znów się powiększyła. Chłód zablokował mnie tak, że nie mogłem się ruszać. W końcu... zamknąłem oczy. Nie wiem dlaczego poczułem, że robi mi się cieplej. Wziąłem mocny oddech...swoją ostatni...

Następnie, ujrzałem ciemność. Ciemność spowijała mnie i była we mnie. Czułem ją i widziałem. Była jednocześnie straszna i niesamowita. Jednak zaraz zaczęło się przejaśniać. Gdy dotarły do mnie pierwsze promyki światła, zauważyłem, że nie mam ciała. Zapewne zostało na Ziemi, moja dusza je opuściła. Wokół panowała pustka. W pewnym momencie mrok zaczął rozjaśniać niespodziewany blask. Gdy dało się już coś zobaczyć, próbowałem rozglądać się wokoło. Jednak nie było tu kompletnie nic. Jedna, wielka pustka. Oślepiający blask zajmował już wszelkie możliwe przestrzenie. Było bardzo jasno, a jednak spokojnie mogłem w tą jasność patrzeć, wcale mnie nie raziła. Przecież w sumie nawet nie miałem oczu, tak jak i wszystkich innych części ciała. I nagle poczułem, że spadam. Zamknąłem oczy – nie wiem, jak to zrobiłem, skoro nawet ich nie posiadałem, ale to zrobiłem. I wtedy uświadomiłem sobie, że umarłem. W końcu, ni stąd, ni zowąd znalazłem się przed ogromną bramą. Ta śmierć wydawała mi się coraz to bardziej pogmatwana i dziwna. Najpierw ciemność, później blask, spadanie i nagle wielka brama. Jednak ja dobrze wiedziałem, co mam robić. Był we mnie jakiś głos, którego nie słyszałem i nie czułem, a jednak mówił mi, jak mam postępować. Ciężko to opisać, ponieważ to nie ten świat. Tutaj wszystko było inne – na pierwszy rzut oka wydające się dziwne i zakręcone, ale po dalszym

doświadczeniu śmierci coraz to realniejsze i piękniejsze. Idąc więc za głosem, którego nie sposób opisać, lekko uchylilem wrota. Ostrożnie wszedłem do środka, cichutko stąpając nogami o ziemię – nogami, których wcale nie miałem. Zaczynałem to rozumieć, jednak słowa są zbyt niedokładne, by nimi to opisać. Znalazłem się w ogromnej świątyni. Pamiętałem jak przez mgłę, że byłem niegdyś z rodzicami w takim miejscu. Wciąż wspominałem, jakie wrażenie wywarły na mnie liczne obrazy, zdobienia i rzeźby poustawiane w niemal idealnym porządku. Ta świątynia wydawała się jednak stokroć wspanialsza. Była większa i piękniejsza, jej obrazy sprawiały wrażenie żywszych i mniej szarych, w środku pachniało łamanym chlebem. Zasiadłem w jednej z ław i czekałem. Nagle, zniknął ołtarz, a na jego miejsce zstąpiła z góry światłość, która rozświetliła wszelkie mroki. Pośrodku tejże światłości, ukazała się postać tak piękna, cudowna i zdumiewająca, że aż trudno ją opisać słowami. Była po prostu miłością, a jednak czymś więcej. Była wszystkim co dobre, ale nie tylko. Była czymś, od czego nie mogłem odciągnąć wzroku, w co wpatrywałem się jak zauroczony z wielkim szacunkiem. Klęknąłem i zacząłem szlochać, mimo że nie zrobiłem nic złego. Nie odrywałem od niego wzroku. Nie chciałem, nikt by nie chciał. Był zbyt piękny. Podszedł do mnie. Był taki sam, jak na krzyżu w kościele, a jednak wiele ładniejszy. Jego oczy o barwie zielono-niebieskiej, wpatrywały się we mnie z czułością, a brązowe włosy lekko powiewały. Kroczył cicho i spokojnie, w czystej, białej szacie. Nie pamiętałem jego imienia, ale wyglądem kojarzyłem z dziecięcych lat spędzonych z rodzicami. Zawahałem się przez chwilę, jednak gdy on położył rękę na moim ramieniu, rozwiły się wszelkie wątpliwości. Czuję ciepło i otuchę, które otaczały mnie z każdej strony. On uśmiechnął się do mnie, po czym rzekł łagodnym tonem:

- Jestem Jezus. Witaj w Niebie.

Po tych słowach, mój umysł rozświetliło jakby światło, dzięki któremu wszystko sobie przypomniałem. Jezus. To było On. Wtedy też zauważyłem, że mam ciało. Tylko że mam je, tak jakby go nie mając. Tak, ciała nie miałem, ale miałem wygląd. I zupełnie inny, niż na Ziemi. Przepadło moje zamię na policzku, zniknęła wada wzroku. Byłem nieco wyższy i dorodniejszy. Widziałem siebie bez użycia lustra. I bez wahania mógłbym stwierdzić, że gdybym zszedł na Ziemię, byłbym tam najśliczniejszym istniejącym chłopcem. Jezus natomiast mówił do mnie dalej:

- Jako, że byłeś dobrym człowiekiem, zmagając się z wieloma trudnościami, czeka cię za to nagroda. Wstąpisz do raju, jaki dla ciebie przygotowałem. Najpierw chciałbym cię jednak z kimś zapoznać.

- Kto to taki? - zadałem niepewne pytanie, a on wziął mnie czule za rękę.

- Chodź ze mną, a się przekonasz.

Ruszyliśmy przed siebie, i nagle świątynia zmieniła się w piękny, malowniczy krajobraz. Rozglądałem się wokół z otwartymi szeroko oczyma, nie mogąc uwierzyć, że coś tak cudownego rzeczywiście istnieje. Piękna, lśniąca trawa wesoło łaskotała nas po kostkach, a niebo o barwie, która nie istnieje na Ziemi, było jasne i piękne. Naokoło rosło mnóstwo wspaniałych roślin, a zadowolone zwierzęta przechadzały się obok. Nagle Jezus zniknął, a przede mną pojawiło się dwoje ludzi. Mimo że nie pamiętałem zbytnio jak wyglądali na Ziemi, tu rozpoznałem ich od razu. Z wrażenia nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Po policzku spłynęła mi łza wzruszenia. Wyciągnąłem ręce przed siebie i zacząłem biec w ich kierunku, oni zrobili to samo.

- Synu, kochanie, jak dobrze, że z nami jesteś! Już nigdy cię nie opuścimy! - powiedziała mama, tuląc mnie swymi czułymi rękami. Tata natomiast pogładził mnie po włosach i uśmiechnął się łagodnie.

- Co... to za miejsce? - udało mi się w końcu wydusić.

- Raj – odrzekli niemal równocześnie i jeszcze mocniej mnie przytulili.

A ja utwierdziłem się w przekonaniu, że właśnie spełniło się moje największe marzenie – znalazłem rodziców, miłość i prawdziwy dom.

+